

W Ameryce, czyli nigdzie

Nie udało się Wojciechowi Kościelniakowi próba wyjścia poza musicalową konwencję. Podczas „Czyż nie dobija się koni?” w gdańskim Teatrze Wybrzeże zmęczenie bohaterów i aktorów szybko udziela się widzom

Jacek Wakar, Polskie Radio

Mówił Wojciech Kościelniak przed gdańską premierą, że czuje się musicaliem trochę zmęczony, wie, iż zrobił w nim wiele, i ma świadomość, że odtąd tylko krok do powtarzania się. Dlatego postanowił zmienić sceniczny język, a krótka powieść Horace’a McCoya nadawała się do tego znakomicie. Do tego świetny zespół Teatru Wybrzeże. Zdawało się, że wejście Kościelniaka na dramatyczną scenę, choć nie bez muzycznych elementów, zostało obmyślane bez ryzyka klęski.

Tymczasem „Czyż nie dobija się koni?” jest porażką i uświadamiamy sobie to bardzo szybko. Reżyser rozgrywa opowieść o morderczym marato-

nie tańca w niemal pustej przestrzeni, gdzie nigdzie tylko widać poprzecierane amerykańskie afisze i plakaty. Gloria (Katarzyna Dałek) i Robert (Piotr Witkowski) narzekają na bezduszną Fabrykę Snów, ale Kościelniak zostawia na scenie Amerykę, jednocześnie ją ignorując. Siła książki McCoya polega na tym, że podobna historia mogła się wydarzyć wszędzie, ale przedstawienie w Wybrzeżu jest dziwnie beznamiętne, pozbawione dramatyzmu. Kościelniak nie może się zdecydować, czy opowiadać realistycznie, czy uciekać się do teatralnych znaków i metafor. Nad głowami aktorów i widzów fruwa wielka ryba – symbol nierealnych marzeń i aspiracji bohaterów. Ale kolejne ich rozgrywki ukazywane są już w fizycznym niemal zwarciu. Dla od-

miany sam taniec – rzecz absolutnie podstawowa – przypomina zbiorowy letarg, bez wzlotów, za to z upadkami. Wojciech Kościelniak doszedł do wniosku, że skoro po raz pierwszy widzimy uczestników maratonu mniej więcej w setnej godzinie, muszą oni od początku ze zmęczenia słać się na nogach. No to słać się, a wszystko wygląda jak film w zwolnionym tempie. Skutek jest jednak morderczy dla przedstawienia. Zmęczenie bohaterów szybko udziela się widzom, w dodatku takie granie nie pozwala aktorom rozwinąć skrzydeł.

„Czyż nie dobija się koni?” obsadzono z oczywistego klucza. Ile razy w podobnych rolach prowincjonalnych mafiosów widziałem Krzysztofa Matuszewskiego? Katarzyna Dałek



DOMINIK WERNER/BEZKICZU/TEATR WYBRZEŻE

była olśniewająca w „Amatorkach”, „Czarownicach z Salem”, „Portrecie damy” i „Kto się boi Virginii Woolf”, ale tym razem bez wsparcia reżysera powieliła dawne gesty i ton, budując postać stereotypowej buntowniczkę. Poza nijakość całości udaje się przebić Grzegorzowi Gzyłowi (Rocky) i Jarosławowi Tyrańskiemu (Rollo), im jednak przypadły partie solowe, efektowne same w sobie.

Maja Kleczewska zrobiła niegdyś w Wałbrzychu „Czyż nie dobija się koni?” o polskim braku nadziei. Wojciech Kościelniak przygotował spektakl bez tematu. I bez napięcia, a to jeszcze gorzej. ©

„Czyż nie dobija się koni?” Horace’a McCoya | reżyseria: Wojciech Kościelniak | Teatr Wybrzeże w Gdańsku ●●